

Cisza przed burzą. Moja Gruzja

4 października 2008

„My wojny nie chcemy, ale jak nie daj Bóg... Będziemy walczyć! Gruzin taki właśnie jest, Gruzin jest waleczny. Jak kocha to całym sercem, a jak nienawidzi, to też z całej siły. Ale my tej wojny nie chcemy...”

Pojawia się taka chwila, kiedy polskie góry wydają się przedeptane wzdłuż i wszerz, a wszystko znane i nijakie. Wtedy zaczyna się wodzić wzrokiem po mapie coraz dalej, odkrywa się nieodwiedzone dotąd łańcuchy górskie, wzbudza swoją ciekawość, a czasem nawet sięga się dalej niż pozwala na to kartka z mapą Europy. Na wschodnim wybrzeżu Morza Czarnego leży Gruzja. Kraj położony w wysokich górach Kaukazu, zachęcający piękną przyrodą, pradawnymi zabytkami, skomplikowanymi drogami historii oraz słynną gruzińską gościnnością. Czego chcieć więcej? Nic dziwnego, że kraj ten jest popularny wśród uciekających od zgiełku, którym niestraszna jest daleka podróż. Stąd w Gruzji znaleźliśmy się i my, w lipcu 2008 roku.

PIERWSZY NAPOTKANY GRUZIN ZAPROSI CIĘ DO DOMU

Po czterodniowej podróży autobusami, dotarliśmy do Tbilisi. Tu okazało się, że powtarzane często powiedzenie, że pierwszy napotkany Gruzin zaprosi cię do swojego domu, jest nadzwyczaj bliskie prawdy. Nie mogąc zebrać myśli, wykończeni podróżą, zaczęliśmy dwie młode dziewczyny. Językiem rozmowy szybko stał się rosyjski, dziewczyny władały nim biegle. Po wykonaniu kilku telefonów, przedstawiły nam kilka propozycji miejsc noclegowych. Jedno z nich znajdowało się na piętrze dworca i choć było blisko, to po czterech dniach w autobusie, pragnęliśmy oddalić się od dworca jak najszybciej. Następna proponowana kwatera okazała się strzałem w dziesiątkę – dom na wzniesieniu nad miastem, przestronne pokoje, cena przystępna i

standard adekwatny do ceny. Właściwie można trawestować wspomniane powiedzenie – otóż każdy napotkany Gruzini, jeżeli nie zaprosi cię na kolację i nocleg do swojego domu, to przynajmniej wykona telefon do rodziny lub znajomych i zapewni ci nocleg. A jeśli na to nie ma czasu, to wetknie ci do ręki kartkę z adresem, gdzie macie się udać.

UWAGA, KROWA NA DRODZE!

Z Tbilisi dotarliśmy wynajętą taksówką do Kazbegi. Taksówkarz, po negocjacjach, zgodził się nas przewieźć „gruzińską drogą wojenną”, traktem biegnącym z Tbilisi na północ, zatrzymując się po drodze przy zabytkach i w miejscach widokowych. Przyznać trzeba, że Gruzini, kierując samochodem, odznaczają się ułańską fantazją. Prędkość jazdy rzadko spada poniżej 100 km/h, gdy ktoś jedzie wolniej zostaje „popędzony” za pomocą klaksonu, a następnie wyminięty z rozmachem. Kolorytu dodają krowy – pojedyncze lub w stadzie – zalegające na drodze. Leżą, śpią, stoją, a trawa i łajno wokół nich świadczy o tym, że nie przemieszczają się od długiego czasu.

Takie zjawisko nie dziwi ani trochę miejscowych, natomiast u nas za każdym razem wywoływało szeroki uśmiech. Niczym dziwnym nie są też pozostałości po remontach drogi, w postaci kopców żwiru lub cementu, zajmujących niemal cały pas. W mieście natomiast Gruzini sprawiają wrażenie kierowców świeżo po zdaniu egzaminu na prawo jazdy. Panuje chaos, ruch kieruje się swoją własną, nie do końca rozumianą przez nas logiką. Szczerze współczuję każdemu Europejczykowi, który przyjedzie tam własnym samochodem. Widocznym odzwierciedleniem stanu dróg jest fakt, że większość samochodów ma popękaną przednią szybę, część też jeździ bez zderzaków.

KAUKAZ ZIELONY...

Głównym celem naszej wyprawy był Kaukaz. Nie jesteśmy profesjonalistami, chcieliśmy się po prostu powłóczyć po górach. Trasę wybraliśmy na starej mapie, znalezionej gdzieś w

Interneście, lecz kierowaliśmy się głównie intuicją i możliwościami. Trzeba przyznać, że wysokość i niemiłosierny upał zmuszały nas do ograniczenia zapałów i nieraz skrócenia trasy. Wędrując doliną wzdłuż rzeki, dane nam było przekraczać ją kilka razy dziennie, szukając odpowiedniej drogi. Nieraz przychodziło nam wdrapywać się na strome zbocza, niemal na czworakach, a namioty rozbijać na jedynym płaskim podłożu, narażając się na zalanie przez rzekę. A wszystko to, by zobaczyć góry nie noszące znamienia cywilizacji.

W wysokiej trawie sami wyznaczaliśmy swoje szlaki, pięliśmy się na trzytysięczne szczyty własną drogą, widząc przestrzeń i majestat gór wokół. Poza nami nie było żywej duszy. W czasie tygodniowej wędrówki, spotkaliśmy jedynie Niemca i Łotysza, wędrujących jak my, oraz pijanego Gruzina, ledwo trzymającego się konia, na którym jechał. Zżyliśmy się z naszą doliną i otaczającymi ją górami, uwielbiając ją i nienawidząc zarazem. Nie udało nam się przekroczyć przełęczy, by przejść na drugą jej stronę. Okazało się to za trudne dla naszych nadwyrężonych już organizmów. Wracaliśmy podziwiając dolinę za piękno i potępiając za to, że nie pozwoliła nam się poznać w pełni.

ZA GRUZIŃSKIM STOŁEM

Gruzini lubią turystów z wzajemnością. I jest to uczucie szczere, nie podszyte żądzą korzyści materialnej, rzadko spotykane wśród ludności miejscowej w regionach turystycznych. Po wielodniowej wędrówce po górach, przyszło nam gościć u Gruzinów na kolacji. Wracaliśmy już z naszej włóczęgi, zmęczeni wysokością i upałem, głodni i osłabieni, kiedy przy naszej ścieżce spostrzegliśmy drewnianą chatę. Ogrodzoną, z inwentarzem wokół i grupką dzieci, która zaczęła machać i wołać na nasz widok. Dzieci otoczyły nas i nie pozostawiając wyboru zaprowadziły do domu. My zresztą nie stawialiśmy zbytniego oporu. Podprowadziły nas do werandy, przylegającej do ściany do domu. Weranda osłonięta była niebieską folią, znajdował się na niej stół, ława i dwa wielkie łóża, z ogromnym stosem pościeli i koców na każdym. Na łóżach tych i

ławie, wokół stołu, siedziało siedmiu Gruzinów. Do tego stołu posadzili i nas, nie pytając o nic, jak gdybyśmy przyszli do jadłodajni, a nie do domu nieznajomego człowieka.

Przywitał nas Romi – gospodarz, starszy, gruby jegomość o ciemniej karnacji i kilkudniowym zarostcie. Podstawił nam swoją rodzinę – młodszy brat, szwagier, wuj, kuzyn, syn sąsiada... Poprzedniego dnia mieli święto kościelne, zabili byka i stąd stół zastawiony był po brzegi. Trafiliśmy na kolację w odpowiedni dzień. Na stole znajdowało się chaczapuri, donoszone co chwilę przez gospodynię z kuchni, gorące i aromatyczne, kawałki pieczonego mięsa, owoce, chleb, ciasta. Spod stołu wydobyli metalowy kanister na benzynę, wypełniony winem domowej roboty. Romi, jako najstarszy i zarazem gospodarz, wnosił toasty. Za podróż, za gości, za szczęśliwy powrót do domu, za miłość, za rodziny, za zmarłych. Każdy toast stanowił osobną przemowę, najpierw po gruzińsku, następnie po rosyjsku, specjalnie dla nas. Treść toastu powtarzał swoimi słowami młodszy brat gospodarza i dopiero wtedy można było się napić trunku. Znaleźliśmy się w środku tradycji, znanej dotychczas tylko z książek, tradycji w której istnienie nie do końca wierzyliśmy. A jednak...

„MY TEJ WOJNY NIE CHCEMY”

Wśród wielu tematów, poruszyliśmy także temat konfliktu z Rosją o Osetię Południową. Romi westchnął ciężko. „O politykę pytacie? My Rosji nie lubimy. Kogo Rosja chwyci, to trzyma i nie puszcza... Oj, nie puszcza. A tu wszyscy to Gruzini. Kazbegi, Swanetia, Osetia – wszędzie Gruzini. My wojny nie chcemy, ale jak nie daj Bóg... Będziemy walczyć! Gruzin taki właśnie jest, Gruzin jest waleczny. Jak kocha to całym sercem, a jak nienawidzi, to też z całej siły. Ale my tej wojny nie chcemy...”

Romi zaoferował nam nocleg, a gdy odmówiliśmy, podał nam namiary na swojego kolegę w mieście, a sam umówił się z nami w Tbilisi na spotkanie. Trudno nie uwierzyć, że Gruzini lubią

turystów. Po tej wizycie, tak serdecznej, jak gdybyśmy znali tych ludzi od dawna, nasunęła się nam pewna refleksja. Czy za jakiś czas Gruzja dalej będzie taka jak teraz? Co się stanie, gdy przybędzie tu więcej turystów? Na pewno wzrosną standardy noclegów i transportu, a co za tym idzie, wzrosną też ceny. Powstaną atrakcje i miejsca nastawione tylko na przyjezdnych. Może będzie łatwiej się przemieszczać i zwiedzać, ale czy o to chodzi? Czy Gruzja straci swój urok? Takie są skutki rozwoju gospodarczego, którego przecież Gruzji życzymy...

JAK WIELKA RODZINA

Po powrocie z gór spędziliśmy trochę czasu w stolicy, a następnie ruszyliśmy zwiedzać inne miasta Gruzji. W Gori spędziliśmy pół dnia. Z twierdzy znajdującej się w samym centrum, podziwialiśmy panoramę miasta – równo ustawione bloki, okazały kościół, domy mniejsze i większe. Osobliwością okazał się dworzec. Odjeżdżaliśmy stamtąd do skalnego miasta Upliscyche. Po zakupieniu w kasie stosownego biletu, zostaliśmy odesłani do jednego z busów. Bus otwarty, kierowcy brak, napis alfabetem gruzińskim, nazywanym przez złośliwych „makaronami”, głosił, że znajdujemy się w odpowiednim środku lokomocji. Po niemal godzinie zjawił się uprzejmy kierowca i oznajmił, że jeśli my do skalnego miasta, to on tam nie jedzie, ale ten bus obok tak i najlepiej będzie jak sobie pójdziemy. Przemieściliśmy się szybko, nie wiedząc, że w drugim busie przyjdzie nam czekać następną godzinę.

Gdy w końcu ruszyliśmy, bus przemierzył kilka ulic i zatrzymał się pod blokiem. Wszedł człowiek w średnim wieku, niosąc wielkie walizy, na nim podążała kobieta i kilkoro dzieci. Nastąpiło długie i rzewne pożegnanie, kobieta z dziećmi zasiadła w busie i odjechaliśmy. Kolejny przystanek miał miejsce na osiedlu obok. Tym razem mężczyzna w szlafroku długo naradzał się z kierowcą, wrócił na chwilę do domu i przyniósł kilka wiązek długich roślin. Ku naszemu zdziwieniu kierowca przymocował je na dachu i pojechał dalej. Znów znaleźliśmy się w centrum, minęliśmy pomnik Stalina, wskazywany nam jako

największa atrakcja miasta przez starszego Gruzina, siedzącego obok. I znaleźliśmy się ponownie na dworcu! Dopiero po odstaniu dłuższej chwili bus ruszył do miejsca docelowego. Cóż, trudno się nie czuć tutaj jak wśród wielkiej rodziny...

Podobnie poczuliśmy się podczas wizyty w rejonie Kutaisi. Już w samym mieście zaczepił nas taksówkarz i zaoferował podwiezienie. Zdziwił się, że chcemy jechać do rezerwatu Sataplia, w końcu to poza Kutaisi, ale zgodził się nas tam zawieść. Po drodze wstąpił z nami do sklepu, zabawiał wesołą rozmową. Lecz podczas podjazdu do rezerwatu auto odmówiło posłuszeństwa. Mimo dobrych chęci taksówkarza, pojechać dalej się nie udało. Klnąc w niebogłosy na jakość benzyny, taksówkarz chciał załatwić nam inne auto, które zawiezie nas dalej, przeproszał, zaklinał, a gdy zdecydowaliśmy, że pójdziemy dalej pieszo, odmówił przyjęcia zapłaty za transport. Mimo, że dowiózł nas prawie na miejsce.

POLICYJNA ESKORTA

Główną atrakcją rezerwatu była przestronna jaskinia i ślady dinozaurów odcisnięte na kamieniach. Rezerwat nosił ślady dawnej świetności i aż prosił się o jakąś inwestycję. Zarządzał nim sympatyczny geolog, mieszkający tam i gospodarujący przez cały rok. Przepiękne miejsce, nie mogliśmy zrozumieć dlaczego zwiedzanie jest darmowe, przecież każde lari za wstęp mogłoby zostać spożytkowane... W rezerwacie zostaliśmy na nocleg, dostaliśmy pozwolenie na rozbicie namiotów w lesie. Byliśmy sami i ogromne było nasze zdziwienie, gdy do ogniska wieczorem przyszedł człowiek ubrany w strój moro. Właściwie wyłonił się z nocy. Okazał się być policjantem. Wypytał nas skąd jesteśmy, co robimy i oświadczył, że przyjechał, razem z kilkoma kolegami, pilnować nas!

„Bo wprawdzie tu jest bezpiecznie, cisza i spokój, nic nikomu się nigdy nie stało, ale... kto to widział tak spać w lesie? Może przenieślibyście się do domu geologa?” Nie chcieliśmy do

domu geologa, w końcu mamy namioty, chcemy spać w lesie, na łonie natury. Rozmowa nie kleiła się. Siedzieliśmy, patrząc w ogień, czas mijał. Od czasu do czasu policjant zadawał nam jakieś pytanie lub zaczynał coś opowiadać, a puenta zawsze była ta sama: „Tu naprawdę jest spokojnie, ale my dbamy o Wasze bezpieczeństwo. Idźcie spać do budynku.” Po czwartej takiej namowie odpuściliśmy i zaczęliśmy się pakować. Policjant odprowadził nas pod budynek, gdzie czekał już na niego radiowóz. Nie do końca wiadomo czy reszta policjantów wyraziła po gruzińsku radość, że w końcu wyszliśmy z lasu, czy też zniecierpliwienie, że trwało to tak długo. Tak czy inaczej zostaliśmy z geologiem, lekko zdziwionym, że będzie miał gości, a cała ekipa policyjna wsiadła do auta i odjechała, zadowolona z dobrze spełnionego zadania.

WOJENNY EPILOG

Kilka dni później, gdy wracaliśmy pociągiem przez Rumunię, zaczęły dochodzić nas wieści od rodzin, że w Gruzji zaczęła się wojna. Traktowaliśmy to z lekkim przymrużeniem oka. Jednak wiadomości telewizyjne, obejrzone już w Polsce, potwierdziły najgorsze. Gori zbombardowane, bloki, które widzieliśmy z twierdzy, płoną. Gruzini uciekają w rejon Tbilisi, turyści szykują się do ewakuacji...

„Gruzińska agresja na Osetię”, „Rosja oskarża Gruzję o czystki etniczne” – brzmiało z mediów. Gruzińska agresja... Przed oczami stanął mi roześmiany Romi. Czy wrócił z rodziną do Tbilisi czy pozostał w górach? Czy użył „kałacha” spod poduszki, trzymanego tam rzekomo na niedźwiedzie? A spotkane w Tbilisi roześmiane dziewczyny, co z nimi? Może chodzą na wiece, rozdają ulotki i skandują patriotyczne hasła? Gruzińska agresja... Czy ten życzliwy i uśmiechnięty naród, stał się z dnia na dzień agresorem? Jeśli ktoś tam był, to traktuje tę wojnę jak swoją...

Do Gruzji wrócimy za rok. Nie będzie to jednak jeszcze ten rok, gdy ceny i standardy dostosują się do zachodnich

turystów. Jeszcze nie ten. Zastaniemy zapewne Gruzję uboższą, wyniszczoną i może trochę mniej piękną. Ale najważniejsze – czy ludzi zastaniemy równie uśmiechniętych jak tego lata?

Autor artykułu i zdjęć: Anna L. Kaliszewska

Źródło: Wiadomosci24.pl